

Czy społeczeństwo mogłoby nie płacić podatku dochodowego?

10 lutego 2025

Rozszerzając tytułowe pytanie, czy przynajmniej zdecydowana większość polskiego aktywnie zawodowo społeczeństwa (95%) mogłaby nie płacić podatku dochodowego? Uważam, że absolutnie tak i posłużę się rządowymi danymi na potwierdzenie tej tezy w przystępny (jak mam nadzieję) sposób dla czytelnika wszelkiej maści.

Czemu miałoby to służyć? Za główny cel widziałbym finansowe ulżenie tym, którzy faktycznie tego potrzebują. Ponoć państwo służy obywatelom, a nie na odwrót. Ale również jako pobudzenie gospodarki, wzrostu produktywności i PKB kraju, a więc i tzw. ogólnego dobrobytu. W typowej nauce ekonomicznej do osiągnięcia tych celów służą narzędzia fiskalne w dwóch formach.

1. Wzmożone wydatki państwa – ulubione narzędzie przez tych, co sterują tym organizmem.
2. Redukowanie podatków – niechętnie i zazwyczaj dość niemrawie stosowane.

Radykalne zniesienie podatków dochodowych dla grupy wchodzącej w skład I progu podatkowego (95%) doprowadziłoby do znacznej poprawy sytuacji gospodarczej i wydatnego wsparcia większości gospodarstw domowych. Przekładając to na łatwo wizualizowane liczby, to tak jakby (niemal) każdy czynny zawodowo otrzymał 13 pensję. Pieniądze, które wyda, w najbardziej efektywny dla niego i bliskich sposób. Siłą rzeczy pobudzi to znacząco gospodarkę, a więc skorzystamy wszyscy.

Popatrzmy na liczby z zeszłego roku. Całość dochodów budżetu państwa to 682 mld zł. Podatek dochodowy pobierany od ludzi (PIT) wynosi 102 mld zł, z czego szacunkowy dochód PIT od I.

progu podatkowego (95%) społeczeństwa wynosi około circa 23 mld zł, a szacunkowy dochód PIT od II progu podatkowego (5%) społeczeństwa około circa 79 mld zł. 23 mld zł (z 682 mld) daje 3,3% całego budżetu Polski opłacane przez 95% produkcyjnego, pracowniczego społeczeństwa. Żaden przedstawiciel tej grupy nie zarabia więcej niż 10 tys. miesięcznie (brutto).

Należy wziąć pod uwagę, że ten szacunek (23 mld) jest mocno zawyżony choćby poprzez fakt nieuwzględnienia ulg i odliczeń (rząd nie czuje się w obowiązku udostępniać tych danych publicznie).

Widać wyraźnie, że podatek od dochodów Polaków (tych nie najbogatszych) stanowi zaledwie mały ułamek całości dochodów państwa. I gdyby się chciało, z łatwością można by ścieśnić rozdmuchany budżet, aby ułatwić życie niezamożnym ludziom. Same wydatki na pomoc Ukrainie w każdym z ostatnich 3 lat wynosiły średnio 19 mld zł. NBP w latach 2020-2021 wydrukował z powietrza 144 mld na poczet zakupu obligacji rządowych, aby wesprzeć budżet państwa (przy okazjonalnym zarobku banków komercyjnych, a jakże!).

Tutaj dłuższa dygresja. Taki dodruk oczywiście wygenerował dość mocno zauważalną inflację – ale jak profesor Glapiński z wielkim znawstwem ekonomicznym stwierdził, inflacja była winą Putina... Oczywiście profesor zdaje sobie sprawę, jak się rzeczy mają, nie bądźmy naiwni. Pytanie dlaczego tak mówił i kto mu to kazał. Ale to już inna 'bajka'.

W budżecie na rok 2025 cały szacowany dochód z PIT wynosi również 102 mld zł. Gdzie całość deficytu jest rekordowa dla postkomunistycznej Polski zarówno strukturalnie (brak niemal 1/3 środków budżetowych) jak i nominalnie, gdyż równa się 289 mld zł. Za ten nie zrównoważony budżet ktoś zapłaci, a tym „ktosiem” będą Polacy. Albo w formie inflacji, czyli tzw. ukrytego podatku, wiążącego się z rozmyciem wartości posiadanych środków pieniężnych – wskutek ich

nadmiaru/nadpodaży na rynku. Albo poprzez nadmierną ilość kredytów, od których odsetki będą wykańczać przyszłe państwowe budżety. Czyli przerzucanie problemu na przyszłość przy jednoczesnym jego nawarstwianiu.

Ciekawe ile z tego deficytu sfinansuje NBP poprzez ponowny dodruk pustego pieniądza. A że gros z tego będzie finansowane przez emisję Obligacji Skarbowych, jest niemal pewnikiem, że bank centralny będzie je odkupywał na rynku wtórnym. Nie chcę krakać, ale być może prawdziwa inflacja (wyższa niż ta obecnie) dopiero przed nami i będziemy za nią mogli podziękować dzisiejszemu rządowi.

Wracając do tematu, idąc dalej w poszukiwaniu dochodów zamiennych, to wraz z duchem czasów można by pokusić się o użycie ceł na wybrane produkty. Minimalne i nieznacznie odczuwalne dla przemysłu 1% cła na polski import (1440 mld) dałyby około 15 mld zł dla budżetu.

Można? Jak się chce to oczywiście, że tak. Ale po co. Jak to mawiał u Sowy imć Morawiecki, Polacy mają harować za miskę ryżu i jeszcze dziękować za to. Nie było tak? Dlaczego polski rząd w pierwszym rządzie nie myśli o swoich obywatelach, którym ponoć służy. Ciężko to zrozumieć nie uciekając się do różnych teorii popularnie zwanych spiskowymi.

Zastanawiające jak to w takim razie jest, że to niby wszystko takie oczywiste, więc gdzie tkwi haczyk. Wszyscy są zaślepieni? Politycy wraz z wiodącymi ekonomistami? Patrząc, jak to się działo za czasów pandemicznych, to już mnie nie dziwią mechanizmy kształtowania się konsensusu w danych dziedzinach ludzkiej aktywności.

Wielu ekonomistów odrzuca z marszu taki pogląd drastycznej redukcji podatków, powołując się na mityczne tzw. „negatywne bodźce do pracy”, które by powstały w wyniku eliminacji podatków. Większość ekonomistów, o ile nie należy do liberałów spod sztandaru Milтона Friedmana, to zazwyczaj zadowala się

tym na poły religijnym dogmatem. Nie próbując nawet zastanowić się nad jego sensownością pod różnymi kątami.

Gdyż negatywne bodźce mogą mieć rację bytu i powinny być rozpatrywane wyłącznie w kontekście zniesienia wszystkich, wszelakich podatków. Czyli coś, co jest skrajnie mało wykonalne w dzisiejszej rzeczywistości. Stąd uważam, że powoływanie się na te ustalenia jest formą manipulacji. I to, że jest ona tak skuteczna w swej propagandzie, wystawia dość kiepską ocenę mainstreamowym ekonomistom. Zarówno pod względem merytorycznym jak i moralnym – zależnie po której stronie wiedzy stoją.

Obecna partia rządząca kanclerza Tuska proponowała coś częściowo podobnego, zanim została wybrana do reprezentowania narodu polskiego (tzw. Obietnica wyborcza) w formie zwanej rozszerzoną kwotą wolną od podatku. Zarabiasz do 60 tysięcy rocznie = nie płacisz. To było ponad rok temu, na jesieni 2023.

W kwietniu 2024 premier pokazowo zobowiązał swojego ministra do zaczęcia prac nad tym projektem. W październiku stwierdzono, że chyba nie da rady tego przeprowadzić, gdyż koszty wyniosą 40 mld, choć ekonomiści dowodzili, że spokojnie można zejść do 31 mld (cytuując ich za Money.pl). W lutym, na dzień dzisiejszy, rząd skapitulował, nie da rady spełnić tej obietnicy, koszty określił na 56 mld (pewnie uwzględnił w tym wzroście drastyczną inflację, którą, jak wspomniałem, zapewne rozpęta), a ponieważ mamy wydatki na wojnę (autentyczne słowa!), to trzeba z niej zrezygnować.

A jednak znowu wina Putina. Tym razem odpowiada on za niespełnienie kiełbasianych obietnic Tuskogangu.

Sądzę, że będzie dość wymowne, gdy sparafrazuje pewnego kołchozowego dygnitarza objeżdżającego swego czasu powodziowe tereny: „Nie ja wam wybierałem premiera”.

Autorstwo: grohmanon

Źródło: WolneMedia.net